

# KAMENA

miesięcznik literacki

ROK II

№ 6

## MIESIĘCZNIK LITERACKI

L U T Y 1935 R.

## S P I S R Z E C Z Y:

CZUCHNOWSKI M.	Poezja chłopska a poezja wiejska	str. 101
HOLLENDER TAD.	Z wczesnego dzieciństwa	„ 105
BRZĘKOWSKI JAN.	Brew . . . . .	„ 106
PIECHAL MARJAN	Artykuł polityczny . . . . .	„ 106
NAPIERSKI STEFAN	Pokuta . . . . .	„ 107
HERTZ PAWEŁ	Endymion . . . . .	„ 107
SARNECKI TADEUSZ	Ojciec . . . . .	„ 108
KULAKOWSKI S.	Ludowy poemat fiński . . . . .	„ 109
	Kalevala . . . . .	„ 110
KULAKOWSKI S.	Estoński epos ludowy . . . . .	„ 111
	Kalevipoeg . . . . .	„ 112
MADEJ ANTONI	Pionowa ściana . . . . .	„ 113
MANDELSZTAM OSIP	* * * * *	„ 118
	Kolumna poezji włoskiej:	
LEOPARDI GIACOMO	Do siebie samego	„ 119
CARDUCCI GIOSUE	Południe alpejskie . . . . .	„ 119
PASCOLI GIOVANNI	Trzy grono . . . . .	„ 119
	Wiara . . . . .	„ 119
DE AMICIS EDM.	Do mojej matki . . . . .	„ 120
MIGNOSI PIETRO	Kuszenie . . . . .	„ 120
	Po skończonej pracy . . . . .	„ 120
PALAZZESCHI ALDO	Chora fontanna . . . . .	„ 121
CORAZZINI SERGIO	Rozmana marjonetek . . . . .	„ 121
KŁOSOWSKI J. N.	Książki najnowsze . . . . .	„ 122
	Noty . . . . .	„ 123

## Wkładka linorytowa ZENONA WAŚNIEWSKIEGO:

Redakcja: Kazimierz Andrzej Jaworski, Chełm Lub. Reformacka 43.

Przyjmuje w poniedziałki od 15 do 16-ej.

Wydawnictwo i Administr.: Zenon Waśniewski, Chełm Lub.

Reformacka 15 B.

Redaktor odpowiedzialny: Wawrzyniec Berezecki.

Prenumerata roczna (10 numerów) 4 zł., półroczna (5 numerów)

2 zł. 25 gr.

CENA NUMERU POJEDYŃCZEGO 50 gr.



# k a m e n a

## miesięcznik literacki

rok II

luty 1935 r.

nr. 6 (16)

Cieniom Bolesława Limanowskiego, wielkiego Bojownika o Niepodległość i Wolność Społeczną Polski, hołd składają wyd. i red. „Kamena”.

### POEZJA CHŁOPSKA A POEZJA WIEJSKA

Wśród przeprowadzanych ostatnio z dużą energją rewizyj literackich nie zrewidowano bardzo ważnej sprawy poezji chłopskiej w sposób rzeczowy i prawdziwie zgodny z nową rzeczywistością. Od czasu postępującego stale scalania i konsolidacji chłopstwa, jako klasy, która wypracowuje przez swe czołówki własną bojową ideologję, zrozumiałe, że również na czoło wysuwa się sprawa klasowej sztuki i literatury chłopskiej, zrodzonej prawie automatycznie z nowej praktyki. Ostra walka historyczna, prowadzona z mieszczańskim faszyzmem przez chłopów wspólnie z robotnikami, wznieca masę nowych konfliktów, które nadają powstającej literaturze chłopskiej specjalny i wyróżniający wyraz, świecący jaskrawo na ustach nowych, silnych książek, wypowiadających bezpośrednio interesy społeczno-polityczne chłopstwa, jako warstwy, prężnej do opanowania wespół z miejskim proletariatem wszystkich dziedzin życia uspołecznionego człowieka w teraźniejszości dla zbudowania innego, nowego życia w przyszłości.

Nie będzie się dziwił nikt, że w etapie starcia w pierwszej fazie rozwojowej, znajdująca się prawie w kołysce literatura chłopska, robiona przez chłopów dla chłopów, operuje takimi środkami artystycznego wyrazu, jakie były dostępne danym pisarzom do zdobycia, możliwe do przyswojenia, jakie znalazły się poprostu już dziś pod niecierpliwą ręką. Skala środków ogromnie rozległa i zamykająca w sobie zarówno pierwszorzędnych artystów, jak prostackich, niezgrabnych ideologicznie i artystycznie ponurych cieśli swych chłopskich utworów. Obok epigonów stoją nowocześni wynalazcy form, obok nowoczesnych artystów, starożytni rymarze, obracający się ciężko w swych zdaniach i strofach. Jasne, że w gorącym okresie wstępnym przewaga elementów emocjonalnych nad intelektualnymi, retoryki nad

syntezą formy jest decydująca. Wypracowana z ciężkim mozołem linja ideologiczna utworów przesądza jednak zdecydowanie tak o ich klasie artystycznej, jak i o klasie społecznej.

Dotychczasowa poezja „opiewająca wieś“, robiona przez mieszczańskich poetów lub chłopów, stojących na mieszczańskim stanowisku klasowym, była mieszczańską poezją wiejską w całym słowa znaczeniu i absolutnie za chłopską nigdy uchodzić nie mogła. Robiona również przez różnego gatunku artystów ustosunkowywała się też różnie do wsi i różną dla mieszczaństwa posiadała wartość kulturalną. Cechowała ją bez wyjątku klasowość burżuazji, odbita w dziełach artystycznych w sposób mniej czy więcej doskonały. Od czasów „Młodej Polski“ z całym jej impresjonizmem, przez „Skamandra“, „Ponowę“ i „Czartak“ do nowoczesnej, mieszczańskiej w całości „Zwrotnicy“, wszyscy poeci wyrażali swą praktyką literacką, swymi dziełami swój stosunek albo do wsi abstrakcyjnej, albo wsi jako terytorjum, albo wsi jako przeciwieństwa miasta, ale od „Życia“ do powojennej „Zwrotnicy“ żaden z poetów tego okresu, prócz Orkana, nie wvraził swego pozytywnego w klasowym znaczeniu chłopskim stosunku do mieszkających tam ludzi, do żyjącej tam klasy społecznej, biorącej gorący udział w powszechnej walce historycznej o prawo do życia, o prawo do niepodzielnego władania i rozporządzania istniejącymi tam dobrami społecznymi zgodnie z powszechnym interesem mieszkających tam i tam walczących, żywych ludzi.

„Zwrotnica“, jedyne nowoczesne pismo literackie powojennego mieszczaństwa w Polsce, w szeregu agresywnych artykułów przemyślała wprost wrogię wsi tendencje, absolutnie nie rozumiejąc, że sprawa wsi związana jest nierozzerwalnie z klasą chłopską, której dążeń gospodarczo-politycznych nie znała, ani nie rozumiała, a co właśnie potwierdzała swym wybitnie antywiejskim stanowiskiem wogóle. W swych antywiejskich artykułach „Zwrotnica“ widziała na wsi tylko drzewa, koniczynę, pagórki, księżycę, czyli stary tetmajerowski landszaft; nie widziała zaś zupełnie ludzi, a jeśli przez swe okulary raczyła ich dostrzec, to odbijali się oni tam w postaci zdeformowanych potworków, i tak zresztą ciągle przesłanianych przez drzewa i rzeki, z którymi to elementami młodopolskiej poezji walczono zawzięcie ku zdziwieniu chłopskich poetów z donkiszoterją godną naprawdę lepszej sprawy. Co zatem zobaczyła na wsi „Zwrotnica“, na co zwróciła uwagę, jaki był jej zwrot? Obiektywnie „Zwrotnica“ nie zobaczyła w sprawie interesów historycznych wsi nawet własnej nieświadomości, rozciągniętej w zupełną niewiedzę o istotnych dążeniach chłopskich, co też za

każdym razem notowała wiernie i szczerze na swych łamach, jako rosnący dokument niecodziennej wartości. Ruchu klasowego, który wydał wówczas wiele bogatych owoców, „Zwrotnica“ nie dostrzegła, zresztą taksamo, jak wszystkie mieszczańskie pisma literackie, głoszące zgodnie z politycznymi tendencjami powojennej, polskiej burżuazji bezwzględny wyższość miasta nad wsią, w której w myśl dążeń klasowych mieszczaństwa ciągle, uporcezywie widzieć chciano twierdzą ciemnoty i dlatego w żaden sposób pojąć nie chciano, że ta „ciemnota“ wysuwa „jakieś żądania“, że się gwałtownie buntuje przeciw „oświeconemu mieszczaństwu“, nie chce być poprostu jego najemną mamką w permanencji, jego wyrobnicą, niewolnicą i pokorną służącą; że wespół z miejskim proletariatem chce rozkuć się z pod ucisku gospodarczego, politycznego i kulturalnego—mieszczaństwa i bynajmniej niżej w swych dziejowych postulatach od proletariackiego miasta nie stoi i stać nie może.

Kiedy pojawili się nowocześni poeci nowoczesnej wsi, dawni mieszczańscy awangardziści ze „Zwrotnicy“, którzy na wsi chcieli widzieć tylko hreczkę i o literackie wyrażanie tej hreczki walczyli z gorszymi od siebie innymi poetami mieszczańskimi, nagle też „odkryli wieś“ i ławą rzucili się na tematykę wiejską. Kilka lat, które upłynęło od zamknięcia oczu „Zwrotnicy“ na spoczynek wieczny, nie otworzyło jednak oczu tym poetom na nowe życie nowej wsi; nie otworzyło im oczu na nową wieś, uświadamiającą się klasowo, prawdziwą historycznie dzisiejszą wieś Polski, wieś nowoczesną, która dojrzewając do historycznego boju, gwizdże na mieszczańskie michałki literackie i tę całą literaturę krajobrazów, którą chcieliby poeci mieszczańscy z jej awangardy zastąpić bojową ideologią klasowej literatury chłopskiej. Historia przez kilka lat się powtórzyła: wyklinate przez „Zwrotnicę“ u innych mieszczańskich poetów nastroje poezji wakacyjnej odżyły w ich nowych książkach z pierwotną siłą staroświeckich przesądów, a wraz z tem wepchnęła się znów do nowoczesnej formalnie mieszczańskiej poezji ze staroświeczczyzną ideologiczną stara, zacofana, przedwojenna wieś, nie wypłoszona ze światopoglądu zacofanych społecznie poetów „nowoczesnego mieszczaństwa“, ograniczona wygodnie do pagórków, tetmajerowskich brzoź, zmiennego księżycy, gai-ków, wybuchających strumieniami zieleni i profesorskiej akuratności zachodów słońca. Jest cały landszaft, zapachy, deszcze, cały zielnik i cały ogród botaniczny, pół zoologii; ale na lekarstwo niema cienia dziejów, najważniejszego bohatera zoologii: żyjącego tam i walczącego z przyrodą i uciskającym go innym człowiekiem — człowieka. Wyklinany za „brak“ uświadomienia

artystycznego przez „Zwrotnicę“ tragiczny Jesienin był wobec tych poetów bardzo dobrze klasowo po chłopsku uświadomiony, nie mówiąc o wyjątkowej, proroczej na kilka lat świadomości artystycznej. Nowoczesnej wsi nie znali, nie rozumieli i nie wypowiedzieli w tych skromnych partjach, w których zajmowali się wsią wszyscy bez wyjątku mieszczańscy poeci awangardy: Ważyk, Przyboś, Peiper, Kurek, Brzękowski, Stern, Czechowicz i inni. Dążenia historyczne nowoczesnej wsi Polski, zamieszkałej przez klasę chłopską, wypowiedzieli dopiero inni poeci. Poeci ci przeszli do rzeczowego porządku nad „poezją wsi“, a stali się klasowymi poetami chłopów. Tutaj jest zasadnicza i ogromna różnica. Tak narodziła się nowoczesna poezja chłopska, która odgrodziła się wyraźnie od „poezji wiejskiej“, klasowej poezji mieszczańskiej, ograniczonej do nowoczesnego landszaftu i jego odłamów.

Mielibyśmy więc dwa autentyzmy poezji wsi. Jeden autentyzm starej, zacofanej wsi przedwojennej, z całym bagażem „nastrojów“, oddawanych przez awangardystów i nieawangardystów, wsi zacofanej klasowo, i drugi autentyzm nowej wsi, rozbudzonej klasowo. Różnice artystyczne między obu rodzajami (choćby pozornie wydawało się laikowi, że oba autentyzmy operują temi samymi środkami artystycznymi) są duże; ale napewno zato te dwa inne gatunki pisarzy nie operują temi samymi metodami artystycznymi, i tu otwiera się już przepaść, nietylko różnice. Autentyk starej wsi, idealizując jej przesady ideologiczne, wypowiedający starą wieś, która już nie istnieje dziś, daje przez to fałszywy obraz współczesnej rzeczywistości chłopskiej, czyli staje się obiektywnie obrońcą zacofanego rozwoju. Artysta starej wsi, który przechodzi do porządku dziennego nad nowym życiem, ujawnia swoje właściwe stanowisko społeczne z punktu widzenia i artystycznego i ideologicznego. Przez idealizację starego układu nie jest artystą nowoczesnym, choćby jego drzewa w najpiękniejszym zdaniu szumiały najoryginalniejszym wiatrem. Nie używając nowoczesnych środków artystycznych nowoczesną metodą, zużywa je przeto w sposób zacofany, pracując zacofaną metodą.

Bardziej będzie podział ścisły, jeśli nazywanych autentystami poetów starej wsi, zgodnie z ich zacofaną, idealistyczną metodą, nazwiemy poprostu idealistami, a poetów nowej wsi, klasowych pisarzy chłopskich, zgodnie z ich nowoczesnym używaniem nowoczesnych środków artystycznych w przedstawianiu historycznie autentycznej wsi współczesnej, czyli zgodnie z ich nowoczesną, realistyczną metodą, nazwiemy materjałistami. Jeszcze ściślejsi będziemy, gdy odmówimy wogóle „na-

szym“ idealistom bezwzględnie i stanowczo prawa do nazwy autentycznych poetów wsi. Cóż mi to za „autentyzm“, jeśli daje on fałszywy, niezgodny z prawdziwą rzeczywistością obraz dzisiejszej wsi.

Legenda literacka o artystycznym autentyźmie poetów starej wsi została sprowadzona w interesie wsi z nieba na ziemię.

MARJAN CZUCHNOWSKI

## Z WCZESNEGO DZIECIŃSTWA

Front przeszedł od miasteczka  
na północ — bokiem...  
Skakało prężnie powietrze  
do ociemniałych okien  
na pierwszym piętrze.  
(Wyższych domów w miasteczku nie było).

A pociski pękały daleko,  
a pociski pękały z siłą...  
— Ileż to lat liczyło dziecko,  
liczące głośno wybuchy za sztreką,  
którego matka z nieprzytomną twarzą  
przy czarnem oknie gźmot chłoneła głuchy.

W ruinach domów zliczało miasteczko  
nieśmiałym rankiem wyrwy i wybuchy.

I rankiem okno otworzył naprzestrzał  
krzyk w ciemnym jarze zburzonego rynku:  
— żołdat pędzony przez patrol niemiecki  
podnosił ręce i z rykiem uciekał,  
i długo, długo w ciemnym rynku wrzeszczał...  
Na długi bagnet człowiek brał człowieka,  
poły szynela jak skrzydła motyle...  
— Motyl na szpilce...  
...tak się było dzieckiem,  
miało się w rękach kolby karabinów  
z gontu i drutu, kiedym „wartę“ trzymał...  
— A zawsze strasznie staje przed oczyma  
soldat na rynku przeszyty... nawylot.



nocą

gorącą jak rzęsy jak ptak  
wtulony w niebieszcz obcych myśli  
idziesz bezzębnymi ulicami, ulicami jak  
granat jak  
makowe pola we śnie.

jak fala pracy mocny i zwarty, jak muszla szumisz nocą,  
falą słów,  
ścisniętą szczęką gryziesz krzyk,

nad ryżą łuną miasta huczysz siłą słowa  
grzmisz i błyskasz czerwień łuna w oczach za oczami gniew  
w zakratowane niebo chowasz  
jak Jehowa  
pustkę zapiętą klamrą nocy  
zmarszczoną brew.

JAN BRZEKOWSKI

#### ARTYKUŁ POLITYCZNY

Pierwszy wziął pióro, przelykał słowa,  
zaciskał pięści, nagle otwierał,  
zaczynał pisać ciągle odnowa,  
od treści puchła każda litera.

Drugi podawał groźne jak bomby,  
od prochu zdarzeń nabrzmiały fakty:  
z borysławskiego na kraj ogromny  
ile krwi tryska, a ile nafty.

Trzeci, garbaty, ksztusząc się, chwiejąc,  
zdawał się wtórzyć nędzy człowieka,  
oznaczonego przez podły pieniądz,  
który księżycem ludzi zdaleka.

I długo jeszcze ciekła z pod pióra  
w strumieniu liter, w groźnej powodzi  
krzywda codzienna, prawda ponura  
ze wszystkich kątów Śląska i Łodzi.

Jak nabój straszny prochem natchniony,  
tak gniew się w każdą literę kładł.  
Kiedyż wybuchnie na wszystkie strony,  
na całą Polskę, na cały świat?

MARJAN PIECHAŁ

## P O K U T A

Spójrz na mury: tu cienie, krające płaszczyzny  
 Z tynku białego, drgają na skrzydłach wichury;  
 Ogród jak wzdęty namiot wlatuje do góry,  
 Nad ugór, nad jałowe mokradła ojczyzny.

Konary z dawnych pędów biegle obłuskane  
 Klaskają piszczelami gołemi gałęzi;  
 W dymnikach zapomnianych głos chrapliwie rzeźbi,  
 Widma rysując palcem naukos przez ścianę.

Cyna ruda, blask sepji, blacha, bury ołów  
 Zgęszczają się w przestworzach, jak na płótnie suchem.  
 Wyrwij barwy z blejtramu! A mokrym podmuchem  
 Padną liście na słomę gnijących chochołów.

Zczerniały krwią krzepnącą dachówki bronzowe,  
 Fałszowana jest zieleń na płotach, jak strupy  
 Pod kominami łuszczą się zacieki. Słupy  
 Skracają horyzonty, jak tułów — o głowę.

Przez nozdrza pcha się pustka, widnokrąg zatruty  
 Chmurami, nurzanemi w oszronionym blasku;  
 Trzeszczą w zębach drobiny rozgniatane piasku,  
 Jakbyś gorzko smakował opłatek pokuty.

W mroku cień nawet niknie, zamiera napoły,  
 Jak jęk wiatru, co w drewnkach trzaskających syczy.  
 Usiądź; w płomieniach niema nadziejskiej goryczy.  
 Rozgrzebuj dzieje własne — te zimne popioły.

STEFAN NAPIERSKI

## E N D Y M I O N

Endymion idzie pod księżycem  
 pobrażem rzeki, w cieniu drzew.  
 Cienie — złe włosy topielicy,  
 co z dna zawodzi szumny śpiew.

Tu pod arkady cię przywiodą  
 ten śpiew, i sen, i księżyc w mgłach,  
 tu pochylony ponad wodą,  
 rozróżnisz noc, i śpiew, i strach.

Że pora mroku nocy bliska,  
 gwiazdy zwiastują ci i śpiew...  
 Patrz, Endymionie! Znów ogniska  
 palą pasterze w gąszczu drzew.

PAWEŁ HERTZ

## OJCIEC

W mieście tysiąca fabryk i miliona wrzecion  
mój ojciec struże sosnę, dąb twardy i jesion.

Na ujęte w żelazo spadają z łoskotem:  
stalowe jego dłóto i żelazny młotek.

Nikt go w życiu nie poparł i nikt mu nie pomógł,  
od dziecka twardo walczy uderzeniem łomów.

I jeszcze tylko młodość pozostała wzrokiem,  
bo złoto światła w srebro głowy spada z okien.

Nie oślizgłem wgłębieniem w gnój wpadniętych widel  
w twarde drzewo dębowe zagłębia się świder,

tu trzeba ciałem wesprzeć, brodą ścisnąć mocno,  
by dziury wyświdrować futryny na okno.

Tu trzeba jak stal mięśni, a żył twardych z grabu,  
by piłą przetrznąć grubą deskę zgóry nadół,

tu trzeba krwi walącej potokami z aort  
i siły sprężonego grzbietu w mocny pałąk.

Dopiero wtedy można wyostrzonym heblem  
budować takie kształtne jak mój ojciec meble,

całówką wymierzone pod kątownik kreślić  
spocone w zgrzycie piły niestrudzone pieśni.

Od świtu do wieczora, od dziecka po starość  
niema końca tej pracy, niema trudu zadość...

Bo wśród wiórów nie łatwo mieć emeryturę!  
Ojciec ucichł, nocami tylko patrzy wgórze:

po śmierci mrugającą nerwowo z pośpiechu  
zawiśnie pośród planet gwiazdą Mistrza Cechu.

TADEUSZ SARNECKI

## LUDOWY POEMAT FIŃSKI

(Stulecie pierwszego wydania).

Cały naród fiński obchodzi w lutym r. b. stulecie wydanla „Kalevali“ słynnego eposu ludowego (1835 r.—tytuł ten oznacza: „kraj Kalevali“). Poezja ludowa fińska zwróciła na siebie uwagę jeszcze na początku ubiegłego stulecia; uczoney R. Becker wydał w r. 1820 kilka pieśni. Pracowali również na tem polu Porthan, Ganander, Topelius, Gottlund, Schröter, całość zaś tego skarbu narodowego wydał dopiero Elias Lönnrot (1802—1883), który w poszczególnych śpiewach zauważył ogólną treść wielkiego eposu. Przed znanym r. 1835 wydał Lönnrot kilka pieśni, zebranych przez niego p. t. „Kantele“ (nazwa dawnego fińskiego instrumentu muzycznego o metalowych strunach, na którym towarzyszo no sobie do śpiewu; odgrywa on rolę również w „Kalevali“). W ciągu szeregu podróży po Kareli i innych miejscowościach północnych kraju zebrał Lönnrot obfity materiał, z którego ułożył piękną całość, obejmującą podania, pieśni liryczne, zażegnania i zaklęcia, przysłowia i t. p. Ta całość układała się dookoła kilku postaci mitologicznych w wierszach, których rytm odpowiadał temu, co określamy przez trochaiczny tetrametr z aliteracjami i paralelizmami; te ostatnie są niezbędne w poezji ludowej fińskiej, która petzetuje zawsze dwóch wykonawców: Siedząc jeden naprzeciw drugiego, trzymają się za ręce i śpiewają naprzemian.

Początkowo obejmowała „Kalevala“ 32 pieśni w 12100 wierszach; wydanie drugie (1849 r.) zostało przez Lönnrota znacznie rozszerzone (50 pieśni w 22800 wierszach).

Najstarsze części poematu pochodzą z XII w.; treść o charakterze mitologicznym zawiera cechy chrześcijańskiego poglądu na świat, lecz te cechy zasłania ogólny magiczny charakter poematu. Bohaterami są przede wszystkim postaci mityczne: Väinämöinen, Ilmarinen i Lemminkäinen. Pierwszy z nich jest symbolem mądrości; działa on na korzyść synów Kalevy i dla nich porywa u Lapończyków „sampo“ czyli „młyn szczęścia“. Kowal Ilmarinen wykuł „sampo“ dla Pohjoli (kraju północy), za co dostał jego piękną córę, po której śmierci pomiędzy Kalevalą a Pohjola, władcą Lapończyków, trwa dalsza walka; wówczas trzej wyżej wspomniani bohaterowie udają się ze swymi ludźmi na zdobycie „sampo“. Zostaje ono zdobyte, lecz podczas walki rozbija się i bohaterowie przywożą do domu kawałki „sampo“. Po długiej walce stary Väinämöinen udziela chrztu synkowi pięknej dziewczycy Marjaty, uznając w nim przyszłego władcę Karjali. (Karjala—Karelija).

Streszczenie „Kalevali“ w kilku wierszach jest rzeczą niemożliwą chociażby z tego powodu, że całość nie jest jednolita. Opowiadanie jest tem bardziej skomplikowane, że cała kosmogonia fińska, pogład na świat, mitologia są związane z szeregiem bohaterów i bohaterek poematu. Przepojony przymglonym kolorytem krajobrazów, urokiem błyszczących jezior falującego starego morza, posępnych północnych lasów, białością śniegu i jasnych letnich nocy, szarym odcieniem granitowych skał—poemat ten czarował wielu uczonych i literatów europejskich. Włoch z krwi i kości, uczoney Comparetti, po ukazaniu się kompletnego wydania poematu poświęcił kilka lat badaniom eposu fińskiego; doskonale tłumaczenia na języki szwedzki, niemiecki, angielski, francuski, rosyjski dają obcokrajowcom możność zapoznania się z kompletnym tekstem „Kalevali“. Zgasły (zeszłego roku) sędziwy uczoney fiński K. Krohn poświęcił długie swe życie badaniom „Kalevali“ i twórczości ludowej fińskiej, którą cały naród uwielbia jako swój najcenniejszy skarb. Lönnrot wydał prócz poematu kilka zbiorów poetyckiej twórczości swego ludu; wielu innych uczonych w ciągu stu lat pomnożyło ten skarb: Fińskie Towarzystwo Literackie, istniejące od r. 1831, jest ośrodkiem, dookoła którego ci zbieracze i badacze się skupili. Na tle tej ogromnej pracy występuje postać Lönnrota jako symbolicznego wcielenia ducha narodu fińskiego.

SERGJUSZ KULAKOWSKI

## K A L E V A L A

(fragment z ruuy XLIX)

Srebrne zejść nie chciało słońce,  
ani złoty zejść chciał miesiąc  
nad Wejnole domostwami,  
nad piaszczystą Kalevalą.  
Mróz zasiewy schwycił w kleszcze,  
pomór stada począł tępić:  
zateśkniły wszystkie ptaki,  
zateśkniły ludzkie serca,  
że słoneczne światło nie lśni,  
że nie błyszczy twarz księżyca.

Szczupak znał odmętów głębie,  
znał i orzeł drogi ptasie,  
wicher znał okrętów szlaki,  
tylko ludzie nie wiedzieli:  
czy to ranek szary wrócił,  
czy też ciemna noc zapadła  
nad przylądkiem wśród tumanu,  
nad spowitą mgłami wyspą.

Naradzali się młodzieńcy,  
starecy wkoło wciąż szeptałi,  
jakby żyć tu bez miesiąca,  
jak bez słońca sobie radzić  
na nieszczęsnym tych obszarach,  
na północnej, nędznej ziemi.  
A dziewczęta też radziły  
i stroskane się udały  
do kowala, do ogniska  
i tak wszystkie jemu rzekły:  
„Wstań, kowalu, wstań już z łoża,  
gdzie przy ciepłym leżysz piecu,  
masz nam wykuć nowy miesiąc,  
masz okrągłe wykuć słońce!  
Źle nam, gdy nie świeci miesiąc,  
ciężko żyć bez ciepła słońca!”

Wtedy powstał kowal z łoża,  
gdzie przy ciepłym grzał się piecu,  
i kuć zaczął nowy miesiąc,  
zaczął nowe słońce robić,  
aby księżyc był ze złota,  
aby srebrne było słońce.  
Wyszedł stary Wąż nä möjneu  
i u ciężkich drzwi usiadłszy,  
począł mówić takie słowa:  
„Mój kowalu, miły bracie!  
Czemu stukasz wciąż tam w kuźni,  
czemu walisz bezustannie?”

Odpowiada Ilmarinen,  
takie słowa jemu rzecze:  
„Kuje złoty ja miesiącek,  
nowe, srebrne kuje słońce,  
na niebiosach je powieszę  
wyżej niżli sześć pstrych dachów.\*)

Rzecze stary Wäinämäinen,  
takie mądre słowa rzecze:  
„O, kowalu, Ilmarinen!  
Próżnej pracy się podjąłeś:  
złoty miesiąc — to nie miesiąc  
srebro też nie będzie słońcem”.  
Zrobił miesiąc Ilmarinen  
wykuł również srebrne słońce,  
w górę poniósł je ostrożnie  
i wysoko je powiesił:  
miesiąc zaniósł aż na sosnę,  
a na jodły szczyt dał słońce.  
Pot mu z czoła lał się gęsty,  
z głowy się sączyła wilgoć:  
taka ciężka była praca,  
tak się wspinać było trudno.

Oto dał na górę miesiąc,  
i na miejsce zaniósł słońce,  
ponad sosną zawisł miesiąc,  
na wierzchołku jodły słońce,—  
ale nie chce błyszczeć miesiąc,  
ani świecić nie chce słońce.

Z rosyjskiej wersji L. Bielskiego  
spolszczył K. A. Jaworski

\*) To znaczy wyżej, niż sześć sklepień niebieskich. upstrzonych gwiazdami.

## ESTOŃSKI EPOS LUDOWY

Lud estoński przeniósł swoją poezję nietkniętą poprzez stulecia i doczekał się czasów, gdy na początku XIX w. twórczość poetycka ludowa zwróciła na siebie uwagę. Wydania estońskich pieśni, bajek, klechd, zagadek ukazały się dopiero w końcu XIX—na początku XX w., przyczem jedynie nieznaczna część tych materiałów, zapisana przez badaczy i zbieraczy, ujrzała światło dzienne; większa część pozostaje w rękopisach.

W pieśniach, bajkach, klechdach odzwierciedla się życie ludu estońskiego, obyczaje, natura—świat cały, otaczający mieszkańca kraju dziewiczych lasów, wspaniałych łąk, szerokich jezior, kraju, o którego skaliste brzogi rozbijają się fale Bałtyku. Na tle pięknej, ale surowej natury postać człowieka urasta do wyżyn bohaterstwa, siły ludzkie mogą być porównane z siłami żywiołów, zwierzęta zaś nabierają cech ludzkich.

Pod tym względem najbardziej charakterystyczny jest cykl pieśni i podań, których bohaterem jest Kalevipoeg (syn Kaleva). Wśród badaczy poezji estońskiej w XIX w. pierwszy zwrócił na ten cykl uwagę typowy romantyk niemiecki, F. K. Fählmann 1798—1850, od którego śmierci w roku bieżącym upływa 85 lat. Zebrawszy obfity materiał i ułożywszy go w formie zwiezłego poematu, Fählmann pracy swej nie skończył. Niemniej jednak powinien być uważany za „estońskiego Lönnrota“. Jego współpracownik E. K. Kreutzwald doprowadził to dzieło do końca. W latach 1857—1862 ukazał się poemat w 20 pieśniach (1800 wierszach) p. t. „Kalevipoeg“. Prawie jednocześnie utwór ten wyszedł w tłumaczeniu niemieckim; obecnie istnieją przekłady na języki francuski i rosyjski.

Opowieść o synu Kaleva obrazuje estońskie życie, obyczaje, wierzenia i uczucia religijne z epoki przedchrześcijańskiej. Młodszy z trzech synów władcy Estonji—Kaleva i pięknej Lindy, Kalevipoeg, rośnie prędko, jak bohater w bajkach. Poszukując zaginionej matki, przepływa zatokę fińską; zyskuje w nieznannej ziemi miłość dziewczyny, odnajduje cudowny miecz, zamówiony przez ojca, zdobywa tym mieczem dziedzictwo Kaleva, wychodzi zwycięsko z bitew i przygód. Syn Kaleva ginie bynajmniej nie z ręki ludzkiej; zaklęcie miecza powinno się spełnić: cudowny oręż niesie zgubę temu, kto go posiada. Po śmierci bohater zostaje na rozkaz Ojca wszystkich ludzi przykuty do skały, aby strzec wrota piekła. Gdy nadejdzie czas, kajdany bohatera roztopią się i syn Kaleva powróci do swego narodu, przynosząc ze sobą nową epokę.

Ten wątek jest owiany poezją mitologiczną. Bogowie, zwierzęta i ludzie są poniekąd równoprawnionymi istotami tego świata bajek estońskich. Wielką zasługę dwóch entuzjastów stanowi ujęcie tego cyklu jako całości. Dopiosła idea wyzwolenia i odrodzenia ludu, którą poemat się kończy, stała się w obecnych czasach realną. Rok rocznie w dniu święta narodowego 24 lutego wspominają Estończycy tę piękną przepowiednię, którą symbolicznie zawiera „Kalevipoeg“.

SERGJUSZ KUŁAKOWSKI

*Obecny numer „Kamenu“ wychodzi z dwutygodniowym opóźnieniem. Zeszyt marcowy ukaze się normalnie. Ze względów technicznych numer tatarski wyjdzie później, a zapowiadziany zeszyt lubelski „Kamenu“ zostaje odłożony na rok przyszły.*

## K A L E V I P O E G

## Urywek z Pieśni VI.

Milcząc ujął syn Kalewa  
 Jeden z conajdłuższych mieczy.  
 Ważąc baczenie w ręce prawej,  
 Wygiął potem brzeszczot stali  
 W łuk formując go kolisty,  
 Aby się znów w mgnieniu oka  
 Wyprostował w miecz hartowny,  
 Zaraz też nim błyskawicznie  
 Górą czyniąc szum młynkował,  
 By z radosnym wkońcu krzykiem  
 Cios ze wszystkich sił wymierzyć  
 W łom granitu, co stał w kuźni,  
 Aż sypnęły iskier snopy.  
 Do uderzeń takiej siły  
 Nie przywykła stal hartowna.  
 Rozkruszyła się w kawałki  
 I rękojeść pozostała  
 W dłoni olbrzymiego czelaka.

„Bierz je licho takie pięści!”  
 Klnąc rusznikarz krzyknął stary,  
 „Kto zabawki brałby dzieci  
 Za mężczyzny godny oręż!”  
 Rzekł mistrzowi syn Kalewa,  
 Śmiejąc się szyderczo z niego,  
 I pochwycił bez wyboru  
 Jeszcze drugi miecz ze stosu,  
 Potem chwycił jeszcze trzeci  
 I nim mógł mu mistrz przeszkodzić,  
 Każdym z nich wywinął młynka,  
 Uderzając w pień kowadła,  
 Że aż płomień buchnął w górę,  
 A stal w tysiąc drobnych części  
 Rozprysnęła się wokoło,  
 Pódezas gdy rękojeść sama  
 W mocnem pozostała ręku.

Syn Kalewa podjął oręż  
 Z ręki mistrza kowalskiego  
 Milcząc i szacunku pełen,  
 I gdy tylko w dłoń pochwycił,  
 Wielkim począł nim rozmachem  
 Wkoło ręki w przegub zgiętej  
 Młynkiem pruć świetliste koła.  
 Świszcząc biel latala stali  
 Górą, jakby w czasie burzy  
 Chmur gradowych warkot głośny  
 Z więzów swoich wyzwolonych,  
 Jak wichura hucząc, szumiąc,  
 Nad falami wzburzonemi  
 W lasach wścieka się i pieni,  
 Że aż dębów moc stuletnich,  
 Trzeszcząc ślania wierchołkami,  
 Chłószcząc gniewnie darń zieloną,  
 A rozsiadłych tam chat dachy  
 Z chmurą piasku wzniesionego  
 W przestwór nieba się wzbijają  
 I ścigają śpiesznie chmury.

I szlachetny syn Kalewa  
 Całą wagą swego miecza  
 I z szybkością błyskawicy  
 Runął mieczem na kowadło  
 I niezwykłeżone ramię  
 Stał kowadła w pół przecięło  
 Razem z pnem w żelazo kutym.  
 W którym tkwił, do samej ziemi,  
 Przyczem obnażone ostrze  
 Nawet jednej, lekkiej rysy  
 Najwidoczniej nie doznało.

## Urywek z Pieśni XX.

„Uderz pięścią w skałę opokę!”  
 I podnosząc taran dłoni  
 Taki skale cios wymierzył,  
 Że się pięść głęboko wbiła  
 I uwięzła w ścianie skalnej,  
 Do dziś dnia waleczny Kalew  
 Na rumaku swoim siedzi  
 Z przywodzioną do skały ręką,  
 Nad czeluścią których czuwa,  
 Sam trzymany przez nie w pętach.

Co czas jakiś syn Kalewa  
 Siłą chce wydobyć rękę  
 Uwieszoną w głębi skały,  
 Czyniąc wstrząsy, grzmoty, huki,  
 Że aż ziemia drży w posadach,  
 Wzgórza chwieją się niepewne,  
 Pienię się zaczyna morze,  
 Lecz go trzyma ręka Mana:  
 Że nie umknie wrót dozorca,  
 Nie ulotni się opiekun.

Niestrudzenie piekiel duchy  
 Poszukują ogni mocnych,  
 By łańcuchy przepaliły,  
 Rozerwać więzy skalne,  
 Których to ogniwa w święto  
 Kurczą się o grubość włosa.  
 Ale pieje kur o świecie  
 Przed starego ojca bramą,  
 Aby wszem oznajmić święto:  
 Każde z ogniów owych wróci  
 Niespodzianie do swej miary.

Ale wreszcie czas nadejdzie,  
 Gdy okowy z dwóch stron naraz  
 Pękną pod gwałtownym żarem,  
 I straszliwy ogień stopi  
 Więzy, co trzymają rękę.  
 I na ziemię wróci Kalew  
 Niosąc szczęście narodowi,  
 Estończykom nową erę.

Z wersji niemieckiej Karola Reinthala (1857)  
 spolszczył Zenon Waśniewski

## PIONOWA ŚCIANA

Stary Piotr Dunek, wdowiec, długoletni robotnik na cegielni, w lecie strycharz, w zimie wożący glinę na place, po wypędzeniu z domu syna Stanisława zmienił się do niepoznania.

Niežnośna chandra szarpała mu serce.

A przecież tak niedawno jeszcze wszystko zapowiadało się jak najlepiej. We wszystkich wolnych chwilach: rano, gdy zwłókł się z twardego barłogu, w czasie modlitwy i jedzenia, podczas przerw w pracy i wieczorem, gdy kładł się spać i gdy długo sen nie przychodził, myśli Piotra płynęły w jednym wyznaczonym kierunku, płynęły z radosnym szmerem i spletały się w sielskie, pogodne obrazy.

— Jeszcze niecały rok—rozważał wtedy zwykle—a Staszek zostanie księdzem. (Stanisław kończył seminarjum duchowne). Niedługo może otrzyma parafję.

Piotr widział już oczyma duszy wieś dostatnią, zasobną. Plebanja na wzgórkach. Do niej wiedzie topolowa aleja. Kościółek smukły i uroczysty. Obok dzwonnica w gałęziach rozłożystych drzew. Wonny sad pełen owoców: pyzate, rumiane jabłka, pulchne gruszki, krągłe, omszone, soczyste śliwy i dużo, dużo malin, porzeczek i agrestu. Brzęczą roje pszczoł i zapach miodu napęcza powietrze. Za parkanem ogrodu falują zagony — to łany proboszcza, jego syna. Niezliczone kopy zboża zbierze się z nich w jesieni. Zapełni się suto stodoła. W oborze dorodne krowy. W stajni własne konie.

Piotr lubił mówić o tem, jak zajmie się gospodarstwem syna. Wizja siejby, košby i młocki,—wiosny, lata, jesieni i zimy w promiennym kołowymrocie zmian przepęlniała serce Piotra nieustannym zachwytem. Gdy o tem myślał, w oczach peęgały mu jakieś smużki błękitnej radości, niby odbłask złotego słońca, rozlewający się szeroko po głębokiej toni ciemnej wody jeziora, skoro tylko ustąpią z nieba ponure cienie chmur.

Piotr był surowy i prosty. Ufał ludziom i zachował jakąś dziecienną wiarę w Opatrzność. Syn Stanisław był jego dumą. Z rozczuleniem czekał tej chwili, kiedy będzie mógł słuchać mszy odprawianej przez niego. Inaczej niż zwykle: bardziej podniośle i uroczyste będą dzwoniły ministrancyjne dzwonki. Złociściej załśni ołtarz. Rzewniej zadudnią organy. A w witrażach okiennych promienniejsz zagrają nieuchwytną muzyką blaski i światła słońca.

A już szczególniejsz radował się Piotr tem, że prócz materialnych bogactw za pośrednictwem Stanisława spłynie na niego błogostawieństwo i pochwała ludzi. Sercem był wciąż przy



zbożnej pracy syna. Ogarniał ją czułą miłością. W ojcowskich oczach coraz częściej widział nie syna Staszka, ale dostojnego księdza Stanisława.

Według prostych, niewymyślnych pojęć Piotra tylko stan kapłański zapewniał człowiekowi najwięcej dobrodziejstw. Jaśniała nad nim aureola świętości...

Jakże się wszystko zmieniło teraz. Myśli Piotra, idące tyle razy utartą, wymarzoną drogą, doznały nagle zahamowania. Zboczyły w zły szlak — bez końca, bez wyjścia.

Z niewymowną udręką i odrazą przypominał sobie Piotr to, co zaszło na początku lata między nim a synem.

Niežnośnem i uporczywem echem brzmiały dotąd w uszach Piotra słowa Stanisława, wypowiedziane owego pamiętnego wieczora:

— Nie chcę, nie będę księdzem, za nic.

Niezrozumiałe, obce terminy, jakieś pierwszy raz słyszane wyrazy, wzniosłe imiona ojców kościoła, namiętne wykrzyki i bolesne wyrzuty Stanisława układały się dotąd w głowie Piotra w dziwaczny chaos pojęć, splątanych uczuć i zawiedzionych nadziei. Z dna świadomości wypelzały zdania buntujące się i wrogie:

— Nie mogę, nie mogę. Niema w tem prawdy życia.

Piotr na wspomnienie tych słów szarpał się bezsilnie. Sześćdziesiąt przeżytych lat waliło się nań ogromną górą czasu, przytłaczało go i gniołło niemilosiernie. Słowa syna otwierały przed nim bramę jakiejś lodowej pustki i nicości. Wiejący z niej wicher zagłady zwiął wszystkie marzenia i nadzieje jego. Wyśniony gmach przyszłości runął w gruzy, w przepaść nieskończoną.

W takich momentach pogodny i cierpliwy dawniej Piotr przemieniał się i przeinaczał. Kwadratowe jego oblicze nabierało złowrogiego zacięcia. Z ust, które przedtem nie wypowiadały prawie nigdy przekleństw, sypały się teraz wyrazy ordynarne.

Jeśli wspomnienie o Stanisławie nawiedziło go przy pracy, rzucał ją i szedł wałęsać się bezmyślnie po cegielni, lub pić na wieś do karczmy Icka czy Borucha.

Nie pomogły żadne prośby Jaśka, czternastoletniego wyrostka, drugiego syna. Stary wściekał się. Ciskał kilofem. Kopnięciem buta wywracał taczki i wymykał się, zostawiając Jaśka na pastwę płaczu i udręki.

Jasiek woził wtedy sam glinę. Wątle siły chłopca nie mogły podolać ciężkiej pracy. Przemagał się jednak i nie ustawał. Zaciął się w sobie i woził, woził. Mimo uszu puszczających szydlive słowa, docinki i kpiny innych robotników, którzy ze

zdziwieniem obserwowali niebywałą zmianę w usposobieniu Piotra.

Mimo ambitnej postawy Jaśka, który chciał pracować za siebie i ojca, głód wkraść się do ich domu. Obaj zaczęli odczuwać dotkliwą biedę. I przedtem wprawdzie nie było dobrze, ale teraz zmieniło się wszystko na jeszcze gorsze. Piotr nie dbał o nic. Cały trud starania się o jedzenie, o kuchnię, zakupy i porządek spadł na nieporadną głowę Jaśka. Piotr niczego nie tykał, niczego nie kupował. Jasiak przebiegłością musiał wychwytywać każdy zarobiony grosz. Zarobki zaś były coraz skąpsze, uszczuplone do reszty przez pijaństwo ojca.

Z pijaństwem zaś było coraz gorzej. Piotr stał się nieodłącznym towarzyszem największego pijaka na cegielni — Antoniego Serdecznego. Przepadał nieraz na całe niedziele a nawet i dni powszednie.

Zaczynało się to zwykle w mieście „Na bramie“. (Serdeczny zimą uprawiał zawód tragarza w mieście.) Tam w restauracji wypijali po jednym, na rozgrzewkę. Następna stacja była „Pod kogutkiem“. Stąd szli „Pod kopytek“. Potem łądowali na „Dziadówce“ — karczmie, leżącej na rozdrożu między miastem i wsią. Obchodzili jeszcze „Murowankę“, potem karczmę Icka, szynk Borucha i nakoniec „Winiarnię“ — już na drodze ze ws do cegielni. i

Wielekroć razy pędził teraz tym szlakiem Jasiak, szukając ojca w strachu i rozpacz.

Zdarzało się nieraz, że wyciągał ojca z pod ławy lub stołu w szynku, lub brał go z przed drzwi karczmy, gdzie go wyrzucano haniebnie po libacji i awanturach. Raz nawet znalazł ojca w rowie przydrożnym na mrozie i śniegu. O mało a byłby przyszedł za późno.

Niewesoło było Jaśkowi, chociaż niekiedy wydawało mu się, że ojciec jakby przychodził do siebie, jakby przytomniał.

Takie chwile zdarzały się jednak coraz rzadziej. Piotr brał się wtedy żarliwie do pracy. Zaciekle wgryzał się w twardą, oporną, zamrożoną na kość glinę. Kopał i rył bez tchu i spoczynku.

Nieraz zrywał się o ciemnej jeszcze nocy. Pędzony jakimś pożerającym go pośpiechem i gorączką, brał latarkę i szedł na „figurę“. Widmowa postać Piotra majaczyła w świetle latarki niesamowicie, strasząc nielicznych przechodniów, którzy o świcie udawali się do miasta.

Pewnego dnia mróz był nieznośny. Z białych obłoków zaczął się sypać obficie suchy śnieg. Nieruchoma dotąd przestrzeń między niebem a ziemią ożyła nagle. Rozpadła się na

miljony drobnych, skrzydlatych żyjatek, wirujących wokoło, jak białe śmy. Słaby wiatr, jaki się skądś wywiązał, pędził je to w górę to wdół, wyżej to niżej. Zimne strugi powietrza drgały cichutko od ich nieustannego ruchu. Biały zamęt przesłonił wnet zupełnie horyzont.

Lecz obłoki były niewyczerpane. Coraz nowe spychały na świat zasoby śniegu. Wreszcie dolne warstwy latających drobinek pod naciskiem górnych osiadały na ziemię. Czasami jednak opadłe płatki podrywały się znowu. Może ostatnim, bezradnym gestem wyrazić chciały wzbudzoną nagle rozpacz za utraconem niebem i swobodą dalekich błękitów? Może? Któż to wie?

W tej zamieci śnieżnej robotnicy wyglądali jak zjawy. Przybierali kształty zgoła fantastyczne. Odnosiło się wrażenie, że wszystko wokół—powikłane siatki rusztowań, zatarte postacie ludzi, sylwety szop, dachów, komina i pieca cegielni—znajduje się na dnie szklanej kuli wśród kłębków, plamek, gwiazdek i punkcików zamrożonego w śniegu światła.

Jasiek z Piotrem skończyli właśnie wozic nakopaną glinę. Piotr zapalił fajkę, rozejrzał się ociężale po niebie i rzucił Jaškowi:

— Idź do domu, przygotuj obiad, ja pójdę tam—wskazał.

Wziął kilof do ręki i po małej drabince wspiął się na „figurę“. „Figura“, t. j. miejsce, skąd brano glinę, miała wygląd uskoków o kilku schodach szerokich na metr, wysokich na dwa, a długich na sześć. Każdy schód był równo i gładko wybrany. Płacono od metra sześciennego wywiezionej gliny. Praca była akordowa.

Wyszedłszy na najwyższy schód, Piotr zaczął gorliwie ostрым dziobem kilofa podkopywać skostniałą, zamarzlą, pionową ścianę. Niby wyłamane sztabki złotego metalu wypryskiwały z pod kilofa żółte grudki ziemi i sypały się wdół z hałaśliwym chrobotem.

Po przebicciu zwierzchniej twardej skorupy Piotr odwrócił kilof i szerokim, płaskim ostrzem wygarniał, wychwytywał z podłużnej szramy miękką i wilgotną już glinę.

Coraz głębiej i szerzej rysował się podkop. Teraz trzeba było wybrać jeszcze szczelinę równie dużą wzdłuż ściany bocznej na wysokość, aby potem przy pomocy wielkiego klinu z drzewa, wbijanego od góry zepchać, zwalić i rozbić oporną masę ziemi.

Jednak im Piotr był bliżej ukończenia pracy, tem wolniej i ciężiej zagłębiał kilof w glinę. Zdawało się Piotrowi, że i w jego sercu, nakształt owej szerokiej brzozy podkopu, rysuje się

szeroka szrama bólu i zawodu. Znów w jego pamięci odżyły wspomnienia, wywołane jakby z dalekiej przestrzeni i z mroku minionego czasu.

Piotr zapalił drżąco fajkę. Oparł się na kilofie. Niezabliżniona rana zaczęła jątrzyć i krwawić.

— Co mówił, co mówił wtedy Stanisław — myślał z udreką i lękiem: ...że nawiedzał go strach ogromny w bezsennych nocach, iż na zawsze wiąże sobie ręce, serce i myśli, obierając zawód, z którego wyjścia niema, ...że chce poznać życie, chce być wolnym, walczyć jak każdy inny człowiek o chleb powszedni i cieszyć się zwykłym szczęściem człowieka, i cierpieć, jak każdy inny,

...że nie chce zawsze, zawsze kłamać i uczyć biednych ludzi posłuszeństwa i cierpliwości,

...że ludziom trzeba serca, pomocy, nie słów nie słów...

Piotr potarł czoło. Stawał się rozdrażniony. Wzrastało w nim napięcie. Przygarbił się i postarzał. Gorycz nieznośnym uściskiem dawała mu serce. Nie pojmował syna. To już nie tylko była sprawa Stanisława, ale sprawa duszy Piotra, sprawa jego wiary naiwnej, jego światopoglądu — sprawa Boga i wieczności.

Od czasu owej pamiętnej rozmowy z synem przemienił się w oczach Piotra świat dokołny. Jakby stanął dęba. I ani rusz nie można go było przywołać, przymusić do dawnej postawy. Zabrakło na nim jakby miejsca. Zrobiło się ciasniej i wężiej. Coś tłoczyło gardło Piotra i zapierało mu dech w piersiach. Patrzył, ale nie widział w zwyczajnym toku dni żadnych powszednich zdarzeń. Wydawały mu się one inne, niż dawniej. Za każdą zwykłą rzeczą snuł się tajemniczy, nieuchwytny cień. Czaił się złowrogim zarysem niedostrzegany dawniej blask nicości.

Wstrząśnienie, jakiego doznał Piotr, równe było jakiemś karaklizmowi natury.

Przypominał sobie stary Dunek, długoletni pracownik na cegielni, człowiek dobry i cichy, jak wpadł w gniew przemożny owego wieczora, jak zwymyślał i sponiewierał syna, waląc go łagą, gdzie popadło, jak przepędził go z domu szyderczo i z przekleństwem.

Oto mija już pół roku, a Stanisław nie dał znaku życia. Poszedł i przepadł. Co się z nim stało?

Stare, ojcowskie serce Piotra skurczyło się w nagłym uścisku bólu i niemocy, zatargala niem tęsknota okrutna. Wydało mu się teraz, gdy tak stał oparty o kilof wśród białych, puszystych gwiazdek śniegu, że był niesprawiedliwy. Odczuł to

najboleśniej. Trzeba było Stanisława wysłuchać, przełożyć mu cierpliwie i spokojnie, z dobrocią i czułością rzecz całą. A tak?

— Zatracił się gdzie — wyszeptał zgryziony i przybity.

Piotr Dunek wyprostował grzbiet. Schował wygaśłą fajkę. Machinalnie wziął kilof, aby dokończyć roboty. Bezmiernie znużenie oładnęło nim. Z wysiłkiem pokonywał drżenie nóg.

Świetliste muszki śniegu krążyły jeszcze w powietrzu. Było ich coraz mniej, niby ostatnie nutki milknącej pieśni grudniowego południa.

Wpatrzony w przestrzeń, w której widział ułudne majaki swych marzeń, wsłuchany w rytm własnego, zbolełego serca, Piotr poniechał zwykłej ostrożności i zbliżył się do podkopanej ściany. Nie zważał na nią, było mu już teraz wszystko jedno. Skądś, zdaleka usłyszał jeszcze ostrzegawczy głos Jaśka.

Oto podkopana, pionowa ściana poruszyła się nagle. Maswny obryw ziemi zawisł na chwilę w powietrzu i... runął wdół, szeroką płachtą przykrywając Piotra.

ANTONI MADEJ

\* \* \*

Jeśli śpiewa zegar-świerszczyk  
I maligna wali w skronie  
I piec suchy szumi, szemrze,  
To zerwany jedwab płonie.

Jeśli w kącie mysz skrobocze  
I dno życia cienkie żuje,  
To jaskółka swojej córce,  
Czółno lekkie odwiązuje.

Jeśli deszcz na dachu mruży,  
Wiedz-to czarny jedwab płonie  
I czeremcha go usłyszysz  
I przebaczy, choć utonie.

Bo niewinni umierają  
I już niema na to rady,  
Gdy w gorączce drży słowiczej  
Serce ciepłe—ognik błady.

OSIP MANDELSZTAM  
Z rosyjskiego przełożył Włodzimierz Słobodnik.

## Z P O E Z J I W Ł O S K I E J

## DO SIEBIE SAMEGO

Teraz spocznieś wieczyście,  
 Strudzone serce. Pierzchł oman ostatni,  
 Co mi się wiecznym zdał. Pierzchł. Czuję jasno,  
 Jako w nas złud najslodszych  
 Już nie nadzieje, lecz pragnienia gasną.  
 Spocznij na zawsze. Dosyc  
 Już długo biłoś. Niema rzeczy godnej  
 Uderzeń twoich, ani warta ziemia  
 Westchnień. Gorycz i nuda —  
 Życie, nie więcej, a świat to bagnisko.  
 Ścichnij dzisiaj. Rozpacz  
 Nie daj się więcej. Los nas przy rodzeniu  
 Już na śmierć skazał. Pogardź bezpowrotnie  
 Sobą, naturą, oną  
 Mocą, co, tajna, krzywdę światu znaczy,  
 I wszechstworzenia nędzą nieskończoną. —

GIACOMO LEOPARDI (1798 — 1837)

przełożyła Julja Weleżyńska

## POŁUDNIE ALPEJSKIE

W wielkiem Alp kole, nad lodowców biele,  
 Nad płowosiwe granitowe zwały,  
 Po bezgraniczach świetlistych się ściele  
 Nietknięty wiewem południowy czas.  
 Sosny i jodły w ciszy skamieniałej  
 Preżną się w słońcu, co je skroś przenika,  
 Tylko, jak cytę, szklany szmer strumyka  
 Słyszać, gdy, nikły, zadźwięka o głąz.

GIOSUE CARDUCCI (1835 — 1907)

przełożyła Julja Weleżyńska

Z cyklu: „MYRICAE“

## TRZY GRONA

Bracie, trzy grona mają winogrady:  
 z pierwszego czysta rozkosz niech cię krzepi,  
 w drugim zapomnień wyssij napój bład  
 i — więcej nie pij.  
 Bo trzecie snem jest, a wiedz: czuwa we śnie  
 czarnym cierpienie, wzrok nieubłagany  
 topiąc i krzykiem niemy drga boleśnie  
 płacz ongi łkany.

## W I A R A

Gdy od łun krasna zachodu godzina  
 cyprysy w złotej działa płaszcz urody,  
 uczyła matka maleńkiego syna:  
 „Takie u Boga całe są ogrody”.  
 Zasnął chłopczyną: śni gałęzie złote  
 i drzewa złote śni i lasy złote;  
 tymczasem cyprys w ciężkiej nocnej mroce  
 walczy z ulewą, w wichrach się szamoce.

GIOVANNI PASCOLI (1855—1913)

przełożyła Julja Weleżyńska

## Z P O E Z J I W Ł O S K I E J

## DO MOJEJ MATKI

Nie zawsze czasu bieg piękność umniejsza,  
 A łzy i troski niszczą do ostatka:  
 Już ma sześćdziesiąt lat matka,  
 A dla mnie z każdym spojrzaniem piękniejsza.  
 Jej ruchy, uśmiech, wzrok chłonę w zachwycie,  
 Jej głos pieściwie w serce mi się wraża;  
 Gdybym miał pendzel malarza,  
 Jej portret robiłbym przez całe życie.  
 Malowałbym ją, gdy do całowania  
 Zniża się dla mnie kos mlecznych korona,  
 Lub kiedy słaba, zmęczona,  
 Cierpienia swoje uśmiechem osłania.  
 Lecz gdyby niebo wysłuchać mię chciało,  
 Nie o dar boski malarza z Urbina  
 Płynęłyby prośby syna,  
 By mógł jej piękną twarz uwieńczyć chwałą.  
 Pragnąłbym, aby losy nam zmienione:  
 Mą całą młodość oddać jej bogatą,  
 I sam być starym, ją zato  
 Przez mą ofiarę widzieć odmłodzoną.

EDMONDO DE AMICIS (1846 — 1908)

przełożyła Julja Weleżyńska

## K U S Z E N I E

Kiedy gwiazdy skromne i płochliwe  
 — nawet te o krwawych źrenicach —  
 ujrzą, jak z poza rąbka ziemi  
 podnosi się czerep ognisty księżycą,  
 biedne gwiazdy skromne i milczące  
 co się lubią na wierzchołkach cyprysów kołysać  
 zamykają oczy, by nie widzieć,  
 w pojedynkę rozprószone dziesiątką,  
 nieulekłe, lśnią.  
 Tak więc aż do gwiazd serduszek  
 dociera zgubna propozycja?! —  
 Ale gwiazdy umieją domknąć powiek;  
 my, niewolnicy, żądzą ogarniamy  
 ciała wszystkich nienasznych kobiet.

## PO SKOŃCZONEJ PRACY

Wszystkie dzieci kończą z powagą i wytrwale  
 swoją pracę: łódki z papieru, bohomazy,  
 kwadratowe ludzkie głowy o oczach i ustach okrągłych,  
 a po pracy — każde z nich  
 ojciec za rękę prowadzi  
 do dużego ogrodu: i dzieci  
 gonia motyle i radość beztruską.  
 Ja też skończyłem swoją pracę,  
 bohomazy, wykrętasy, głowy ludzkie i święte,  
 ja też zbudowałem swe papierowe łódzie,  
 ale Ty, Ojcze, nie przyszedłeś,  
 nie wziąłeś mnie za rękę  
 i nie powiodłeś po Twoim cudownym ogrodzie,  
 gdzie z drzew-obłoków z wieszają się mrowie gwiazd.

PIETRO MIGNOSI

przełożył Stanisław Bąkowski

## CHORA FONTANNA

Gl... pl... bl...  
o glućcie...  
o plućcie...  
o blućcie...  
gghh...  
Na dole,  
w dziedzińcu  
znędziała  
fontanna  
jest chora,  
że biorą  
mnie spazmy,  
gdy słyszę  
jej kaszel.  
I kaszle  
i kaszle,  
na chwilkę  
zamilknie  
i potem  
znów kaszle.  
O biedna  
ty moja  
fontanno,  
ten ból twój  
ustawny  
tak dławi  
mi serce!  
Na chwilkę  
zamilknie,  
nie słyszy  
się wrzawy,

tak jakby  
już może,  
już może  
umarła?  
O Boże!  
Nie! Oto  
znów kaszle:  
Gl... pl... bl...  
o glućcie...  
o plućcie...  
o blućcie...  
gghh...  
Suchoty  
ją męczą.  
Mój Boże,  
ten straszny,  
przeciągły  
jej kaszel  
o śmierć mnie  
przyprawiał!  
Potrosze,  
lecz ciągle.  
Abelu!  
Wiktorjo!  
Biegnijcie,  
zamknijcie  
to źródło,  
bo tak mnie  
morduje  
to jego  
przeciągłe

konanie!  
Poradźcie  
cokolwiek,  
ażeby  
raz wreszcie  
już skończyć,  
już skończyć  
z jej śmiercią!  
Zabijcie,  
zabierzcie,  
niech raz się  
już stanie!  
O Marjo!  
Jezusie!  
Nie! Już nie!  
O moja  
ty biedna  
fontanno,  
umierasz  
z twym bólem,  
zobaczysz,  
że wkońcu  
mnie także  
zabijesz.  
Gl... pl... bl...  
o glućcie...  
o plućcie...  
o blućcie...  
gghh...

ALDO PALAZZESCHI (ur. 1885)  
przełożył Jalu Kurek

## ROZMOWA MARJONETEK

- Czemu, maleńka królowo,  
każesz umierać mi z zimna?  
Król zasnął: mógłbym ci teraz  
zaśpiewać cichą piosenkę.  
Nie bój się, nie usłyszysz.  
Wejść na balkon, daj rękę!  
— Mój miły przyjacielu,  
balkon jest tekturowy,  
nie mógłby cię utrzymać.  
Czyżbyś chciała, bym przez cię  
umarła bez głowy?  
— Ach, rozpuść złoty przepych  
swych włosów, zdejm koronę!  
— Poeto! Jesteś ślepy.  
Nie widzisz, że me włosy  
są z lnu zrobione?  
— Ach, wybacz mi, królowo!
- Więc tak?  
— Więc tak?  
już nie mów nic, bądź zdrowa.  
Ja umrę...  
— Więc tylko przez te słowa  
tyle uniesień?  
— Dość już ironji... żegnaj!  
— Tak sądzisz?  
— A nasza ostatnia schadzka  
w tym tekturowym lesie?  
już się wspomnienie rozwiewa?  
— Nie nie pamiętam. Odchodzisz?  
Na zawsze? O, najśladzszy,  
jakżebym chciała zapłakać,  
byś moje łzy mógł otrzeć.  
Lecz moje małe serduszko  
jest z drzewa.

SERGIO CORAZZINI (ur. 1887)  
spolszczył Kaz. And. Jaworski



## KSIĄŻKI NAJNOWSZE

MIROŚLAW BEZŁUDA: „Józko żołnierzem polskim“ — powieść 1935 — Pomorska Spółka Wydawnicza.

Przed rokiem ukazała się na półkach księgarskich ciekawa powieść nieznanego autora, Mirosława Beźludy p. t. „Akademja Józka“, wywołując szerokie zainteresowanie prasy, a to ze względu na swą rzadką odrębność charakteru i ogromną bezpośredniość w ujęciu świata proletarjackiego domu, świata prawie że egzotycznego w świetle reflektorów autora. Dzieło to najczęściej zestawiano z książką G. Finka p. t. „Jestem głodny“, co już samo przez się przynosiło zaszczyt debiutującemu pisarzowi. „Akademja“ Beźludy — to prawdziwy skarb socjologa!

Ostatnio pojawiła się druga część wspomnianej „Akademji“ p. t. „Józko żołnierzem polskim“ i tak ze względu na oryginalność koncepcji, jak i ciekawy, z niesłychaną dokładnością wystudjowany język lwowskiej ulicy, zasługuje na bliższą uwagę, stanowiąc jednocześnie swojego rodzaju pendant do zrozumienia istotnych założeń obszernego tryptyku prozatorskiego M. Beźludy (niebawem pojawi się część III).

Akcja książki p. t. „Józko żołnierzem polskim“ rozgrywa się we Lwowie w pamiętnych dniach listopadowej obrony 1918 roku. Z dziejami „orląt“ wiąże się w literaturze naszej prawie zawsze nieodłączny patos albo sentymentalizm. Po raz pierwszy zrywa z temi cechami Beźluda. I dlatego książka jego posiada tyle świeżości, prawdy i bezpośredniości! Zresztą autor położył nacisk nie na samą obronę, lecz na stronę psychiczną młodocianych bohaterów, dzieci lwowskiego proletariatu. Wizerunek psychiczny dziecka „z bramy“ wypadł niezwykle plastycznie, barwnie i przekonywająco. Książka ta — to niezmiernie żywy, zżęcznie zmontowany film, film pełen niezłomnej, nagiej, często szorstkiej i bolesnej prawdy. Na specjalną wzmiankę zasługuje humor, humor o swoistych, odrębnych cechach, a językowi tak tej, jak i poprzedniej książki Beźludy należałoby poświęcić osobne studjum. Całość interesująca i zewszeczmiar wartościowa, wydanie b. estetyczne. Papier dobry.

JALU KUREK: „Grypa szaleje w Naprawie“ powieść — Warszawa 1935—Gebethner i Wolff.

Nakładem Gebethnera i Wolffa ukazała się nowa powieść autora „Mount Ewerestu“, Jalu Kurka p. t. „Grypa szaleje w Naprawie“. Trudno jest zdobyć się na ocenę tej niezwykle ciekawej książki, gdyż prawdziwie jej wysokie wartości, miejsca i całe rozdziały naprawdę cenne graniczą z kartami potrakto-

wanemi szkicowo i czyniącemi wrażenie raczej ujemne. Z chaosu tego najtrudniej wydobyć prawdę.

Napozór zdaje się, że akcji w „Grypie“ właściwie niema, ale to tylko w znaczeniu tej akcji, do jakiej przywykliśmy, czytając stereotypowe powieści. Przy bliższym jednak przyjrzeniu dostrzeżemy, że akcja ta jest, lecz toczy się kilkunastu, jeżeli nie kilkadziesiątu strumyczkami, rozgrywając się na całym szeregu płaszczyzn naraz. Przypomina to często Choromańskiego, tembardziej, że i styl nieraz uderza w tę nutę.

W związku z wielotorowością akcji niema też w „Grypie“ szablonowego bohatera, lecz fabuła osnuwa się dokoła całego skupiska ludzkiego, jakim są Jordanów i Naprawa, dwie miejscowości podkarpackie.

Książka Kurka jest dziełem realistycznym. Realizm ten nie jest przesiany przez soczewkę indywidualności artystycznej autora i dlatego często mamy tu do czynienia z reportażem, z reportażem zresztą najprzedniejszego gatunku, do którego jednak stosuje się zgoła inne kryterja, niż do powieści. Tu leży zasadniczy błąd tej wartościowej, z pasją epicką napisanej książki.

Należy podkreślić, że „Grypa“ Kurka posiada cały szereg scen o pierwszorzędnej, niezapomnianej piękności, jak choćby: dialog Wawrzka i ciężarnej Agnieszki, śmierć Franusia i Zońki. Opisy przyrody oryginalne, zabarwione liryzmem i pełne plastyki.

Całość—świadczy o dużym talencie autora. Zasłużyła więc na nagrodę P. A. L., jaką przyznano J. Kurkowi w styczniu b. r.

JÓZEF NIKODEM KŁOSOWSKI

## N O T Y

DAJE SIĘ ZAUWAŻYĆ z każdym miesiącem coraz bardziej wzrastająca decentralizacja ruchu literackiego. „Zet” w artykule „Ferment” (№ 68) notuje istnienie u nas w styczniu r. b. 24 pism literacko-artystycznych (wielu o zabarwieniu polityczno-społecznym), z których prawie połowa powstała w ostatnim półroczu. Lwia część ich przypada na miasta wojewódzkie i inne prowincjonalne. Te ośrodki, jak o tem pisze M. Turwid w № 40 „Wici Wielkopolskich”, przestały już być „Światem zabitym deskami”, choć dla stolicy wyraz „prowincja” wciąż jeszcze jest „pogardliwym a w każdym razie bagatelizującym określeniem”. Równocześnie z tem maleją wpływy „Sztabów literackich” (interesujący artykuł S. Czernika w № 2 „Akcji literackiej”).

MIESIĘCZNIK LITERATURY i SZTUKI, wydawany pod redakcją J. Czechowicza przez Związek Nauczycielstwa Polskiego, przedstawia się dość interesująco. Ostatni numer (5-y) przynosi między innymi ciekawy artykuł M. T. Koerner-Karbowskiej „Grupa Skamandra”, próba bilansu poetyckiego, oraz piękne „Wspomnienia” J. Czechowicza na tle wrażeń paryskich, związanych z przytulkiem św. Kazimierza, gdzie umarł Norwid. W każdym numerze miesięcznika spotykamy artykuły, omawiające działalność artystyczną różnych ośrodków prowincjonalnych. W ostatnim zeszyście A. Madej przedstawia „Życie artystyczne Lublina”. Interesujące byłoby wiedzieć, w jakim procencie współpracownikami pisma są nauczyciele.

NUMER DRUGI „DŹWIGARÓW” jest skromniejszy, niż pierwszy co zresztą przed zapowiedzianym zwiększonym zeszytem trzecim jest usprawiedliwione. Niesamowitą „Świątą inkwizycję” J. Wydry znamy już jako wkładkę „Barykad”. Wiersze Timofiejewa i Czuchnowskiego to przedruki z niedawno wydanych książek. Przekłady reprezentuje tylko jeden wiersz Asiejewa w spolszczeniu S. Pollaka. Brak prozy artystycznej. Z prozy krytycznej zasługuje na uwagę artykuł G. Timofiejewa „Żeromski w wymiarze rzeczywistym”. Słuszna jest cięta replika redakcji „Dźwigarów” (wyczuwamy pióro Łobodowskiego) w związku z niekulturalną napaścią na to pismo „Lewara” (nie nazwiemy, płacąc pięknem za nadobne tego rzadko ukazującego się „dwutygodnika” „zbiorowiskiem wszelkiego” proletariackiego „śmiecia literackiego”, choć niejedyn z lewarowych wierszy upoważniałby do tego). Ale zabolala nas pochopność redakcji „Dźwigarów” w wypadku, kiedy zaleca się jak najdalej idącą ostrożność: chodzi o sprawę Wandurskiego. Jak można szafować krzywdzącym, haniebnym epitetem „prowokator” (str. 142), gdy jednocześnie na str. 148 pisze się, że „Wandurskiego aresztowano pod zarzutem prowadzenia działalności prowokatorskiej”. „Pod zarzutem” — to jeszcze nie znaczy, że tak było naprawdę. Skądinąd wiemy dobrze, że to jest najłatwiejszy sposób ukatrupiania niepożądanych z pewnych względów ludzi. Przy sposobności zapytanie, czy naprawdę Łobodowski uważa stalego bywalca paryskiej „Rotundy”, autora „Kanunów” i cynicznych powieści za jednego z najświetniejszych pisarzy proletariackich?

Z NAJNOWSZYCH PISM LITERACKICH notujemy dwa warszawskie: miesięcznik „Akcję Literacką” i dodatek do „Polski Ludowej” — „Front Literacki”. Lutowy numer „Akcji Literackiej” rehabilituje poniekąd pierwszy zeszyt tego pisma, ponieważ nie figuruje w nim p. J. M. Domosławski, autor rewelacyjnego odkrycia, że przywódcami symbolizmu byli w Rosji — hr. A. I. Tolstoj i Krapotkin, a w Niemczech jakiś Nitsche. Artykuły Czuchnowskiego i Czernika: pierwszy p. t. „Przewietrzanie składów” drugi — wspomniane wyżej „Sztaby literackie” poruszają sprawy dla rozwoju naszej młodej literatury bardzo ważne. Czuchnowski z pasją atakuje „poetów dla proletariatu”, zarzucając im „przebiegłość”, „wulgarną idealizację”, „nieuznawanie” „samorodnych zdobyczy technicznych” oraz „zgniły oportunizm” i przeciwstawia im „poetów proletariatu”, których wyloni robotniczo-chłopska inteligencja techniczna. Czernik w swym artykule odśladania zakulisową politykę grup pisarskich, skupionych „obok jakiegos’ warsztatu literackiego lub instytucji, przynoszącej niewątpliwie korzyści materialne”. Artykuł Z. Bładowskiego (ideowo spokrewnionego z Czuchnowskim, lecz mniej krańcowego w swych wywodach) „Literatura do mas” i niepozabawiony pewnej słuszności artykuł Wł. Bocheńskiego „Zagadnienie czasopiśmiennictwa literackiego”, poruszający niektóre sprawy praktyczne, związane z wydawnictwem czasopism, uzupełniają część publicystyczno-literacką. Poezje słabe: nie nagrodzilibyśmy żadnego z sześciu wierszy społecznych, ubiegających się o odznaczenie w konkursie „Akcji Literackiej”. — „Front Literacki” to jakby dalszy ciąg „Wsi — jej pieśni”: spotykamy tu znane nam z tego miesięcznika nazwiska pisarzy chłopskich. Pismo redagują Czuchnowski, Kafel i Olcha.

W TEGOROCZNYM NR. 1 „LEWARA” St. J. Lec w kupiecie „Kuzynowi Michała Słonimskiego” wyśniewa stanowisko, zajęte przez A. Słonimskiego w związku z licznymi wyrokami śmierci po zabójstwie Kirowa. Czyżby „Lewar” nie odczuwał, że te masowe egzekucje poważnie zaszkodziły Z. S. S. R., gdyż podważyły kredyt moralny, jaki to państwo zyskało w ostatnich latach? Co można było zrozumieć w okresie wojny domowej, tego nie da się usprawiedliwić w 18-ym roku zwycięskiej rewolucji. Ale humanitaryzm to dzisiaj przeżytek zarówno w państwach faszystowskich, jak i w kraju dyktatury proletariatu.

JAK WYGLĄDA ODWROTNA STRONA MEDALU „przyjaźni” polsko-niemieckiej przedstawia nam Jan Wiktor w ciekawie opisanych wrażeniach z Bytomia p. t. „Siegreich wollen wir Polen schlagen”. („Prosto z mestu” № 6). Są to słowa popularnej dziś w Hitlerji piosenki.

P. M. STR. W GRUDZIĄDZU. Słabe. Nie skorzystamy.

P. S. WIN. W WARSZAWIE. Z nadesłanych wierszy najlepszy „Żołnierze“, ale jeszcze nie dla nas. Na przekłady nie reflektujemy.

P. R. GR. W BIELSKU. Przekład bardzo nieudany.

P. L. L. W WARSZAWIE. Przekłady, za które dziękujemy, w swoim czasie częściowo wykorzystamy. Narazie mają pierwszeństwo poezje innych narodów, nie uwzględnionych jeszcze w obecnym roku.

P. S. SZ. W KIWERCACH Nowe wiersze Pana świadczą o pewnym postępie. Ale za dużo w niektórych zbyt wyraźnej dydaktyki. Pracować warto. Może zamieścimy w przyszłości „Podobieństwo“. Prosimy o nas nie zapominać. Za miłe wyrazy dziękujemy.

## PISMA I KSIĄŻKI NADEŚLANE

Akcja Literacka № 2

Biuletyn Polsko-Ukraiński № 91—95

Dekada № 15 — 18

Dźwigary № 2

Front Literacki № 2

Front Polski Zbudzonej Nr. 40 — 43

Juni Druzi Nr. 3

Lewar Nr. 2 i 4

Miecz Nr. 37 — 41

Miesięcznik Literatury i Sztuki Nr. 1 — 5

Nazustricz Nr. 3 — 4

Państwo Pracy Nr. 4 — 7

Pion Nr. 5 — 8

Polska Ludowa Nr. 6 — 10

Szkwał Nr. 1

Sztegn Nr. 3 (17)

Wici Wielkopolskie Nr. 13 (40)

Zet Nr. 21 — 22

Życie Akademickie Nr. 2 — 3

Zygmunt Kisielewski: Dni listopadowe, Warszawa, Dom  
Ks. Pol. 1935.

Elżbieta Szemplińska: 18 spotkań, Lwów—Książnica Atlas

Antoni Madej: Linje i granice, Lublin, Nakł. Zw, Liter. 1935

Leon Pasternak: Naprzeciw, Warszawa, Nakł. „Biblijonu“ 1935

Bronisław Przyłuski. Dalekie łąki, Toruń T-wo Bibliofilów  
im. Lelewela 1935

E. O'Neill, Księżyc nad Karybami. Biblioteka dramat.

„Drogi“ Nr. 7, Warszawa 1934

Dialog o grzeszniku i łasce bożej. Bibl. dramat. „Drogi“.

Nr. 8, Warszawa 1935

Ukazała się książka red. WACŁAWA MEYBAUMA p. t. „Polskie problemy dnia“, zawierająca glossy na marginesie najważniejszych zagadnień współczesnego państwa polskiego. Poszczególne ustępy książki dotyczą następujących spraw: dawny i nowy nacjonalizm, zagadnienie inteligencji — zagadnieniem nowej kultury, nowe pojęcie pracy społecznej, problem wsi w Polsce, o obozie małego człowieka w Polsce, perspektywy gospodarczej etatyzacji, pasywizm gospodarczy, zagadnienie ukraińskie, nacjonalizm ukraiński na Ziemi Czerwieńskiej, koncepcja imperjalna nacjonalizmu ukraińskiego, problem mniejszości ukraińskiej w Polsce, dokoła zagadnienia istoty państwa (na marginesie listu pasterskiego kardynała Hlonda). Cena książki zł. 2,50. —

Poza tem wyszły z druku dwa dalsze tomiki wydanej przez „Drogę“ „Biblioteki Dramatycznej“, mianowicie: „Księżyc nad Karybami“ EUGENE O'NEILLA w przekładzie HELENY MYŚLAKOWSKIEJ (cena zł. 2. —), oraz staropolski nieznany moralitet, odnaleziony przez prof. Windakiewicza, p. t. „Dialog o grzeszniku i łasce Bożej“ (cena zł. 2.—). O'Neill jest znakomitym współczesnym dramaturgiem i eksperymentatorem teatralnym amerykańskim, który w swych słynnych jednoaktówkach osiąga maksimum ekspresji i nowatorstwa scenicznego. „Dialog o grzeszniku i łasce Bożej“ jest jedynym polskim moralitetem, stanowiącym odpowiednik angielskiego misterjum średniowiecznego p. t. „Każdy“ (Everyman), który stał się klasycznym dziełem literatury powszechnej.

Wszystkie powyższe wydawnictwa, tanie i estetycznie wydane, są do nabycia we wszystkich większych księgarniach w Warszawie i na prowincji, oraz w Administracji „Drogi“ (Warszawa, Chmielna 33 m. 5, tel. 2. 75-34, konto P. K. O. 518).